

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 18

Katowice, 8-go maja

1932

Na niedzielę 6-tą po Wielkanocy.

EWANGELJA

zapisana u św. Jana w rozdz. 15, w. 16—26, 4.

W on czas: Mówił Jezus do uczniów swoich: Gdy przyjdzie Pocieszyciel, którego Ja wam poślę od Ojca, — On Duch prawdy, który od Ojca pochodzi, — On o Mnie świadczyć będzie, gdyż jesteście ze Mną od początku. To wam powiedziałem, abyście się nie zrażali. Wykluczą was z bóżnic; przyjdzie nawet godzina, że każdy, kto was zabije, mnieć będzie, że Bogu składa ofiarę. To zaś uczynię wam, bo nie poznali Ojca ani Mnie. Ja jednak to wam powiedziałem, abyście, gdy nastanie ich godzina, przypomnieli sobie, że o tem wam mówiłem. Tego zaś nie mówiłem wam od początku, gdyż wśród was przebywałem.

NAUKA.

Jako wódz zagrzewa żołnierzy swoich do meśstwa przed bitwą decydującą, tak pragnie Zbawiciel dziś przygotować uczniów Swoich do walki, którą mają stoczyć, na cierpienia i prześladowania, które ich czekają, gdy **świadczyć** będą o mistrzu i nauczycielu swoim. W tym celu ponawia Pan Jezus obietnicę zesłania Ducha-Pocieszyciela, który będzie ich bronił i powiedzie ich do zwycięstwa.

Potężna to była pomoc. Słabych, lęklivych, tchórzliwie kryjących się a mistrza swego haniebnie opuszczających uczniów zamienia Duch Boży, zesłany przez Zbawiciela, na odważnych, wszelkiem niebezpieczeństwem gardzących mężów. Z ciemnych prostaczków stają się nagle ludzie uczeni, którzy mądrością swoją w zdumienia wprawiać będą największych filozofów! Nic tak dobitnie i wyraźnie nie świadczy o działalności Ducha Św. jak przykład Piotra-Apostoła! Dwie sceny z życia jego pouczają nas o tem! W pierwszej scenie widzimy Piotra na dziedzińcu arcykapłana Kaifasza! Jest on tam zmieszany z tłumem gawiedzi żydowskiej i grzejących się przy ogniu żołnierzy, pełen ciekawości, jaki obrót weźmie sprawa pojmanego Jezusa przed sądem opodał się odbywającym! Zostaje nagle poznany jako uczeń Chrystusa. „I tyś był z Jezusem Nazareńskim!“ Lęk i trwoga wstępują w serce Piotra! Zapomina o mistrzu swoim, zapo-

mina o tem, jak bardzo został wyróżniony obietnicą prymatu wśród apostołów, i oto z bojaźni przed zgrają go otaczającą, najhaniebniej zdradza Zbawiciela! — I widzimy tegoż samego Piotra w innej scenie, w dzień Zielonych Świątek po zesłaniu Ducha Św.! Wieczernik, w którym zebrani są uczniowie Chrystusowi, otoczony tłumami żydostwa zgromadzonego na święta doroczne! Nastrój tego tłumu nieprzyjazny dla wyznawców Chrystusa! Ledwie przecież przebrzmiały złowrogie okrzyki, dysząc zemstą: Ukrzyżuj go, ukrzyżuj! „Czyż ośmieli się ktoś z uczniów ukrzyżowanego pokazać się wrogo usposobionej hałastrze? Wtem otwierają się drzwi wieczernika i wychodzi Piotr, ten sam, który ongiś okazał tchórzostwo, zapierając się Chrystusa! Śmiało staje naprzeciw tysiacytnego tłumu i głośno, on pierwszy z apostołów poczyną mówić o Chrystusie Ukrzyżowanym! Wyrzuca ziomkom swoim zbrodnię, której się dopuścili, sławi zmartwychwstanie Jezusa i nawołuje do pokuty i przyjęcia Chrztu!

Jakaż cudowna przemiana! Któż jej dokonał? Duch Boży przemienia Piotra zaprzańca na pierwszego bojownika o sprawę Chrystusową! On czyni gromadkę uczniów lęklivych zdolną do ponoszenia nadludzkich ofiar.

„Wy także świadczyć będziecie!“ Cięży i na nas obowiązek świadczenia o Chrystusie, słowem i czynem! Wszyscy, zapisani pod sztandar Ukrzyżowanego, pełnić powinniśmy posłannictwo Jego wobec świata dzisiejszego. Łączmy się w dzisiejszych, przełomowych czasach, wszyscy z tymi, których Duch Boży na wzór Apostołów szczególnie sposobem powołał do apostołstwa, z biskupami i kapłanami, aby wspólnie stworzyć potężny czyn katolicki, i móc skutecznie **zaświadczyć o Chrystusie w chwili**, gdy tego świadectwa tak bardzo potrzeba, gdy świadectwo samego tylko Kościoła uczącego już nie wystarczy! Jak apostołowie zamknięci w wieczerniku czekali na ziszczenie się obietnicy Zbawiciela, tak i my w obecnym tygodniu, poprzedzającym Zielone Świąta, pamiątkę Zesłania Ducha-Pocieszyciela, prosimy tegoż Ducha Św., aby na nas zstąpił, nas przemienił i uzdolnił do świętego, szczytnego apostołstwa!

Jaś Złotogoleńczyk.

W Boryniu przed dworem ludu jak mrowia. Nowy dziedzic zjechał do wsi, toż jak starodawny przykazuje obyczaj z chlebem i solą przybyła go pozdrowić gromada.

Wójt i starszyzna poszli na pokoje, a reszta gospodarzy czeka przed gankiem i przypatruje się ślicznej karecie, co przywiozła wielmożnego pana.

Aj, sutyż bo to pojazd suty! jakby ze szkła cały, tak świeci się do słońca, a we środku obity takim suknem delikatnem, że niech się schowa samego organisty święteczna kapota!

Wszystko to jeszcze ot jak zwykle, ale na obu drzwiczkach błyszczały jakieś dziwne złociste obrázky. Na wierzchu widać było śliczną koronę, a pod spodem w złocistej dokoła wstędze świeciła się złocista noga ucięta pod kolano, z ostrogą u pięty.

— Co też to może znaczyć ten ładny obrazek na drzwiczkach? — szeptali niektórzy wiekowi między sobą.

— Toć ja wam powiem — ozwał się Janek, co jak to mówią bywał w świecie i wiedział jak w piecu palą.

— A gadajże kiedy wiesz! — zawołano ze wszystkich stron.

Janek nadał się jak stary przysiężny, kiedy na papier wyciska pieczęć gromadzką.

— Wiecie — ozwał się zwolna — taki obrazek to się u panów nazywa herb, i jakci każda gromada ma swoją pieczęć, tak też każdy pan ma taki herb na znak swojej szlacheckiej kondycji.

— I każdy ma inny? — zapytał kulawy Walek.

— No jużci — odpowiedział Janek, — tylko swojaki mają jeden i ten sam.

Gospodarze pokiwali głowami, a jeden z nich rzekł:

— Hm, hm! wszystko to dobrze, ale radłbym przecie wiedzieć, dlaczego na tym obrazku nie stoi człek cały, jeno kawałek nogi. Jużby prędzej wypadło, żeby na tym herbie, czy jak go tam nazywacie, była sobie przynajmniej głowa, albo oko, boć to przecie więcej waży jak noga.

— Kiedyć bo właśnie nie mogło to być nic innego, jeno ta noga ucięta po kolano — ozwał się nagle ktoś z tyłu.

Obziera ją zagapieni gospodarze, a toć tymczasem sam dziedzic wyszedł ze dworu i przysłuchuje się rozmowie. Więc poklonili się należycie, a dziedzic prawi dalej:

— Posłuchajcie mnie jeno, a powiem wam skąd się wzięła ta noga na obrazku.

Wszyscy bacznie nadstawili uszu, a wielmożny pan tak zasie jął opowiadać:

— Już też od małego dziecka obito wam się wszystkim o uszy, że jak dziś szarańcza albo jaka inna plaga Boża, tak dawniej przed laty spadała czerń tatarska na nasze ziemie chrześcijańskie. Tatarzy, był to lud pogański, okrutnie szpetny, dziki a krwiożerczy, że jeno dyszał mordem, rabunkiem i pożogą. Nie wierząc w naszego Boga, mścił i pastwił się okrutnie nad każdym chrześcijańskim narodem. Gdzie jeno stąpił, tam już wszystko zmieniał się w pustynię. Z dymem szły siola i miasta, pod końskimi kopytami marniał płon Boży. Przodem tatarskich hord lała się już krew strumieniami, za niemi w tyle zostawały tylko zgłiszczca, pustki i mogiły. A trza wam wiedzieć, że poganin ohydny nie tylko mordował lud Boży, ale także co młodsze i dorodniejsze kobiety i dzieci brał z sobą w jasyr sromotny i potem jak bydło sprzedawał po targowiskach, i mękami zmuszał na wiarę pogańską.

Otóż pewnego razu spadła taka czerń tatarska na naszą ziemię polską. Przerażony lud chronił się do miast i grodów, a szlachta ostrzyła szable, siadała na koni i ciągła na poganina. Jakoż wielkie wojsko ruszyło i stanęło obozem niedaleko Tatarów, ażeby sobie odpocząć, a potem dopiero całą siłą uderzyć na nieprzyjaciela.

Stary hetman dowodził naszą wiarą. Całe wojsko kochało go jak ojca, boć też był dzielny i sprawiedliwy w boju, a przytem łaskawy i dobry dla każdego. Najwięcej atoli kochał go młody Jaś, syn kmiecia ze wsi hetmańskiej, boć był sługą przy starym dowódcy. Czy w nocy, czy w dnie, czy w najsroźszym boju, to on musiał być zawsze przy boku hetmana.

Było już późno wieczór; wojsko polegało sobie przy roznieconych ogniach i czekało słonka, żeby wpaść na Tatarów. Ale stary hetman nie odpoczywał; wiedział on dobrze, że kto chce pobić wroga, to musi wiedzieć iak on stoi, i z której strony najsłabszy. Więc zawołał Jasia i rzecze:

— Chłopcze, osiadłaj mi konia, i sam siadź na swojego. Pojedziemy cicho zobaczyć, jak Tatarzy koczują.

Jaś zwinął się duchem, i przyprowadził konia staremu hetmanowi.

Cicho, cichutko było, kiedy obydwaj zbliżali się pod kosz czyli obóz tatarski. Żadnych ogniów nie było widać, ani żadnych krzyków i szczęku broni nie było słyhać. Stary hetman myślał już, że Tatarzyn uciekł przed nim i markotno mu było: aż ci tu nagle rozległ się okrzyk przeokropny, a z poza krzaków i z lasu rzuciła się nieprzeliczona čma tatarska na obóz polski. Dopiero teraz otwarły się oczy hetmanowi na oną zdradę. Obrócił konia i leci wraz z Jasiem do swoich, aleć już zapóźno. Čma tatarów obkoczyła ich na około.

Dobyl korda stary hetman, i Jaś dobył szabli, i dalejże borykać się z poganami! Ale wszystko nadaremnie. Tatarzy związali obydwóch jak owieczki, i zawieźli do swojego kosza.

Odparli nasi Tatarów, ale im dziwno było, że hetmana nie widać. Jakoż w trwodze czekali do rana, a hetmana jak niema tak niema. Więc całe wojsko straciło głowę, a zamiast bić dalej Tatarów, zostało na miejscu, nie wiedząc jak sobie począć.

A stary hetman siedział w tatarskim obozie, i smutno mu było, że się doczekał niewoli na stare lata. Sromotna była to niewola: ogromną obręczą okuli Tatarzy nogę hetmańską i skuli ją łańcuchem z Jasiową nogą, żeby im żaden nie uciekł. Gdziekolwiek tylko ruszył się stary hetman, to i Jaś musiał się posuwać, bo grube obręcze ciążyły im na nogach.

Przebyli tak niejedną dobę ze sobą, aż jednej nocy, budzi Jaś starego hetmana.

— Miłościwy panie, — rzecze do niego cicho — Tatarzy śpią jak bobaki, tam na boku stoją konie, bierz jednego i uciekaj.

Stary hetman uśmiechnął się boleśnie i westchnął ciężko:

— Jakże uciekać, mój chłopcze, kiedym żelazem przykuty do ciebie, a ciebie nie zawlokę ze sobą.

A Jaś na to prędko:

— Ej, nic to miłościwy panie: ten brodaty Tatar, co się tu rozłożył koło nas, zasnął jak kamień, toć ja wyciągnąłem rękę, wziąłem mu topór od boku...

— No, to cóż? — pyta hetman.

— Ta cóż, miłościwy panie, przeżegnałem się, porwałem za topór, i jak nie uderzę po nodze, tak noga odpadła aż po gołeń. Uciekaj więc teraz miłościwy panie, a kawał mej nogi pochowaj w rodzinnej ziemi. Niech tam choć ten kawałek spocznie w Polsce, kiedy ja zostanę w niewoli tatarskiej.

Zerwał się hetman na równe nogi; a jużci prawda była co mówił: Na drugim końcu kajdanowego łańcucha wisiała odcięta noga. Rozplakał się jak dziecko stary wojownik, i przycisnął do serca wiernego Jasia.

— Chłopcze! — zawołał z płaczem — Bóg świadkiem, że gdybym był nie spał, byłbym ci nie

dał dopuścić się tak srogiego kalectwa. Ale kiedy się już tak stało, to przysięgam ci na Boga, że byleś został przy życiu, to pewno nie pożałujesz tego, coś zrobił.

Po tem powiedzeniu poskoczył hetman prędko za koniem, i popędził jak strzała.

Pobudzili się Tatarzy, ale nim poprzecierali oczy i opamiętali się ze snu, to stary hetman był już blisko swoich.

Nie chciał własnym uszom wierzyć najstarszy między Tatarami, co go hanem zowią, kiedy mu o tem powiedzieli; bo dziwno mu było, żeby jedno chłopię polskie ucięło sobie nogę, a żeby tylko pana swego wybawić z niewoli. Więc poszedł zobaczyć na własne oczy, a skoro ujrzał Jasia, stanęły mu łzy w oczach, choć był poganinem. I nie mógł się napatrzeć Jasiowi, taki go zebrał podziw i szacunek.

Jakoż zwalczony tym szlachetnym uczynkiem Tatarzyn, nie tracił czasu. Zawołał swoich lekarzy, kazał Jasiowi wygoić nogę, a potem go obdarzył, i wysłał razem z innymi niewolnikami do Polski.

A w Polsce, zasiadł nasz król na tronie, koło niego różne pany, i tak przymowiali wracającego Jasia. Sam król podał mu rękę i uściśkał serdecznie, że Jasiowi z radości aż łzy w oczach stanęły, choć kulę się podpierał.

A potem wszedł stary hetman, i wyniósł nogę po gołęń ulaną ze szczerzego złota, a król się odezwał:

— Weź Jasiu tę nogę na pamiątkę za twój czyn szlachetny. Jesteś odtąd szlachcicem, a zwiesz się Złotogoleńczykiem, jako że ci tę nogę uciętą zostawiamy w herbie.

Szczęśliwym był odtąd Jaś. Chodził wprawdzie o kuli, ale żył w dostatkach i w poszanowaniu u ludzi.

— Owóż widzicie — dodał dziedzic na ostatku — od tego Jasia Złotogoleńczyka pochodzi moja rodzina, a na tę pamiątkę to i ja taki sam herb noszę. Jaś był chłopem tak iako i wy, więc i ja z chłopów pochodzę; ale zasługi wedle naszej polskiej ziemi, i krew co za nią moja rodzina wylała, wywyższyły mnie trochę.

Gospodarze słuchali całej opowieści jakby kazania jakiego; pan już dawno ich pożegnał i wrócił do dworu, a oni jeszcze stali w milczeniu i kiwali głowami.

— Aż to! — ozwał się nagle Walek Kuternoga — ani mi się śniło kiedy, że to nasz pan wielmożny pochodzi prościutko od chłopca. A bodajże wam Pan Bóg nie pamiętał mój pradziadun w grobie, żeście to wy także nie poskrobali dobrze po uszach jakiegociepnieprzypiaciela, albo nie przyczynili się czem oczwźnie! A toć i ja bym był sobie wielmożnym panem i jeździłbym sobie w takiej karecie siarczystej!

A stary wójt na to mrugnął oczyma i machnął ręką.

— Aż, cicho tam bądź — mruknął przez zęby — jak przyjdzie czas, to możesz ty sam się zasłużyć, albo niech się twój syn zasłuży wedle naszej Polski, a nagrodzi z okładem to, czego pradziadek nie dopilnowali.

— Daj Boże! — westchnęła sobie cała gromada.

Podobny wypadek zdarzył się w Czechach, i tam też znajduje się rodzina, mająca uciętą nogę w herbie.

List dziecka do Pana Boga.

W chacie pewnego robotnika nader smutnie wyglądało. Wskutek bezrobocia i choroby zbawiało na wszystkim. Dzieci nie miały chleba na zaspokojenie głodu.

Najstarsza córeczka, która już do szkoły chodziła, wpadła na następujący pomysł dla sprawienia rodzicom ulgi i pociechy.

— Napiszę, — rzekła sama do siebie, — list do Pana Boga, piękniejszy jeszcze jak zazwyczaj do mej chrzestnej piszę i odeślę. Wszakże ksiądz nas uczy, abyśmy się w smutku i dolegliwościach do Boga udawali, bo On, najdobrotliwszy nasz Ojciec, każdemu pomaga.

Pisze więc list, nie szczędząc mozołu i płam i prosi w nim Pana Boga o zdrowie i pomoc dla rodziców, dla siebie i rodzeństwa o chleb. Zatem pobiegła szybko do kościoła św. Rocha. Ujrawszy skarbonkę, do której wierni swe datki wkładają, pomyślała, że to skrzynka do listów do Pana Boga adresowanych. Zbliżyła się do niej, oglądając na wszystkie strony, czy też kto nie patrzy.

Wtem przystępuje dostojna pani, która właśnie co z kościoła wychodziła i zapytuje się dziewczyny co by miała za zamiar, że ten papier do skarbonki wkłada?

Dziewczę przestraszone rozplakało się i smutne położenie rodziców opowiedziało, dodając, że na tym papierze napisała prośbę do Pana Boga, którą właśnie co chciała odesłać.

Miłosierna Pani pocieszyła dziecko i odebrała list z przyrzeczeniem, że go na przeznaczone miejsce odda.

— Ale — rzekła do dziewczyny — podałaś też dokładny adres, pod którym Pan Bóg by mógł ci dać odpowiedź?

— Tego nie potrzeba — odpowiedziało dziewczę, — bo Pan Bóg jest wszystkowiedzący, więc będzie także wiedział, że list ten ode mnie pochodzi.

— Tak jest w samej rzeczy, ale, moje dziewczę, Pan Bóg osobiście ci odpowiedzi nie przyniesie, tylko wyśle posła, który, nie tak jak On, wszystko wie.

Dziewczyna podała pomieszkanie rodziców i uspokojona odeszła.

Na drugi dzień stał przede drzwiami robotnika kos z ubraniem i bielizną dla całej rodziny a i znacznej zapomóżki pieniężnej nie brakowało. Do kosza była przyczepiona kartka z napisem: „odpowiedź od Pana Boga“.

Tak więc list nie doszedł wprawdzie do nieba, ale Bóg obrał sobie ową panią za wykonawcę narzędzie swej najświętszej dobroci. List ów był także modlitwą ale piśmienną.

Podanie o jaskółce.

Razu pewnego z jakiejś wioski cichej horda porwała dziewczę urodziwą i wlokła z sobą, jako łup z wyprawy! Płonęły strzechy, a po polach trupy pomordowanych ofiar pozostały; włókł się po ziemi nocą opar biały, i rosły w niebo czarnych dymów słupy...

Dziewkę Tatarzy pognali w obczyznę.

I tam w jasyrze (niewola tatarska), od swoich daleko, słone łzy lała na sercową bliznę, — słonych łez źródło miała pod powieką. Po nocach całych w Niebo modły słała do Marji Panny z prośbą o pociechę, by wrócić mogła pod rodzinną strzechę i ojców swoich zobaczyć przed zgonem, głowę przed nimi pochylić z pokłonem, i u ich kolan choćby paść bez ducha!...

Kiedy tak tęskni i wzdycha, i płacze: „Wiosko ty moja, kiedyż cię zobaczę!...” gdy dniem żalonym i żalowaną nocą prosi Marji, by szła jej z pomocą, gdy jej tęsknota tak paliła duszę, że wyschła, jako trawa w letnią suszę. Pan Jezus Matce Swojej czyniąc gwoli, dał zmiłowanie dziewczę w tej niedoli i w ptaszka zmienił dziewczynę stęsknioną, by na rodzinę pofrunęła łono.

I dziewczę chmurne rozjaśniło czołko, bo poleciało w swe strony — jaskółka...

Pod swoją strzechą gniazdo ulepiło i całe lato z rodzicami było, a starzy nawet nie wiedzieli o tem, że mają córkę przy sobie z powrotem, i że to ona w gniazdeczku maleńkiem ćwierka tak do nich codzień nad okienkiem.

W chacie z przybyciem wędrownej jaskółki, jakby się szczęście wraz z nią zagnieździło, przyrósł dobytek, zapasów przybyło, i pełne skrzynie, pełne były półki, i drugi śpichlerz rodzic jej wystawił, bo przy jaskółce Pan Bóg błogosławił.

Więc ludzie na wsi, widząc takie dziwo, poczęli Boga prosić najgoręcej, aby im przysłał takich ptaszek więcej, co wnoszą z sobą dole tak szczęśliwą, i Bóg wysłuchał — za Marji radą przysłał na wiosnę ptaszek całe stado, — i odtąd w siołach i miastach wokoło pełno jaskółek fruwa dziś wesoło.

A owa pierwsza branka uskrzydłona pod ojców strzechą przepędzała lato, lecz na jesieni Bóg jej kazał za to powracać w jasyr znów drogą powietrzną, ażeby była i tam użyteczną, kędy cierpiała i kędy służyła.

Biały kogut.

— A Jakób, jak wogóle cała moja służba, to perła, to prawosć uosobiona, to uczciwość bez skazy...

Zacny ksiądz misjonarz mówił te słowa z takim przekonaniem, że gość jego nie śmiał mu przerwać.

Od lat mieszkał misjonarz na wyspie Ceylon, trochę za obrębem miasta Colombo, więc zdala od ludzi. To też cieszył się niezmiernie, gdy się zjawili u niego goście. Mianowicie, ile razy odwiedził go stary przyjaciel, kupiec z Batawji, witał go jak wysłańca niebios. Do późnej nocy wtedy trwały pogawędki, w których poruszano wszystko, co tylko obu przyjaciół zajmowało. Misjonarz naturalnie najchętniej powracał do swoich tubylców, sławił ich zalety a mianowicie, jak powyżej, ich rzetelność, uczciwość i prawdomówność. Lecz ten raz nieszczęście sprawiło, że sam o tych wszystkich cnotach swych parafjan musiał zwątpić.

Kupiec z Batawji zostawił był w pokoju gościnnym surdut a w nim portfel, wypchany banknotami. Portfel znikł!

Cała służba przesłuchiwana przez chlebobaw-

ce zarzekała się, że nic o portfelu nie wie. Wszelkie poszukiwania za złodziejem były bezskuteczne. Już chciał pogodzić się z losem i ksiądz i gość jego, gdy przybył z sąsiedztwa pewien plantator, do którego już była dotarła wieść o kradzieży.

— Pozwólcie mnie zająć się tą sprawą a ręczę wam, że złodzieja wkrótce wam wskażę! — Warunek, żeby nikt ze służby nie oddalał się aż do mojego powrotu.

W godzinę będę znowu tutaj.

Po godzinie rzeczywiście zjawił się ponownie, lecz w towarzystwie dwóch pogańskich czarodziejów.

— Szanowny księże, — ci dwaj złodzieja wysledzą! — Daj im tylko białego koguta, orzech kokosowy i trochę drzewa opałowego!

Wszystko, co potrzeba, za chwilę było na miejscu. Wtedy plantator zwołał służbę przed domem i próbował wstrząsnąć jej sumieniem, aby nakłonić do przyznania się i oddania pieniędzy przez złodzieja, o ileby był między zgromadzonymi. Lecz daremnie. Nikt się nie przyznał. Teraz rozpalono ogień, a skoro się rozpałił na dobre, wrzucono w płomień orzech kokosowy, przyczem pogańscy czarownicy wyczyniali rozmaite zaklęcia. Lecz i to bez skutku. Jeden z nich schwycił nagle koguta i biorąc go pod pachę, wszedł z nim do ciemnej strzechy, stojącej w podwórzu.

— Każdy z was wejdzie za mną do środka — i pogłaszcze całą otwartą dłonią koguta. Skoro ptaka dotknie ten, co pieniądze skradł, kogut zapieje! Biada temu, kto by po wyjściu z strzechy słówko przemówił do drugiego!

— Także ksiądz wszedł do wnętrza chaty, podczas gdy plantator i okradziony pozostali na zewnątrz, aby pilnować służby, żeby ze sobą nie mogła rozmawiać. Indusi wchodzą jeden po drugim do strzechy, dotykają koguta i wychodzą, ustawiając się w szeregu. Lecz kogut nie zapiał ani razu! A więc niema złodzieja między służbą?!!!

Czarownicy każą zszeregowanym podnieść ręce w górę i bacznie im te ręce oglądają. Potem wołają na stronę plantatora i szepcą mu do ucha: — Próba się udała... Portfel skradł ten oto... Pokazują Jakóba!!!

Kiedy jedni z pośród posadzonych wznoszą okrzyki radości, że okazała się ich niewinność. Jakób przyznaje się do kradzieży, gdyż widzi, że nie ma celu dalsze zapieranie się. Portfel ukrył pod starem wiadrzem, porzuconem w podwórzu...

Lecz w jaki sposób czarownicy pogańscy tak szybko wykryli złodzieja?

— Bardzo prosty! — objaśnia plantator.

— Kogut został przed próbą posmarowany olejem, który na rękach zostawia ślady... Niewinni nie wahali się dotknąć całą dłonią koguta, będąc o swej niewinności przekonani. Przeciwnie, kto się poczuwał do winy, obawiał się dotknąć ptaka, a czując się pod osłoną ciemności, panującej w chacie, bezpiecznym, że nikt tego nie spostrzeże, wyszedł z chaty i koguta nie dotknął...

Gdy wszyscy stanęli w szeregu, nastąpiło oglądanie i badanie rąk. Wszystkie błyszczały śladami oleju prócz jednej pary, zupełnie czystej. Były to ręce Jakóba — złodzieja!